10. Grudnia. Nr. 48. 1868 roku.

Wychodzi 1. 11. i 21. każdego miesiąca (cztery arkusze druku.)

Cena:
kwartalnie . . . . . . 1 złr. 15 ct.
półrocznie . . . . . . 2 „ 30 „
rocznie . . . . . . 4 „ 60 „

Cena nn. z roku ubiegł. z przesyłką 60 ct.
— z dodatkiem 1 złr. 10 ct.

NOWINY

Listy *franco* przysyłać należy: „Do wydawnictwa „**Nowin**“ we Lwowie w drukarni **Kornela Pillera**.

Reklamacje nieopieczętowane nie opłacają się.

Ekspedycja i prenumerata miejscowa w Administracji „Gazety Narodowej.“

Brak krytyki.

W charakterze naszym są zalety i wady, dobre i złe strony... Których-że jest więcej? Bez wahania odpowiadamy — pierwszych! Mamy więcej dobrych przymiotów, aniżeli stron ujemnych; bardziej zbliżamy się do ideału, aniżeli od niego odstępujemy; w ogóle — nie jesteśmy źli!

Jeden tylko brak uderzający dostrzegać się w nas daje; jedna strona ujemna gorszącej natury; mianowicie: brak zmysłu krytycznego. ›Mądry Polak po szkodzie!‹ powiada przysłowie, i charakteryzuje nas tak dokładnie, jak żadne, by najmędrsze, wywody... Doświadczenie gorzkie daje nam naukę; ale przewidzieć następstw. jąć się pożytecznej, a zarzucić czynność szkodliwą — zdaje się być nie w naszej mocy. Przebieg dziejowy dowodzi prawdziwości tych słów; charakter narodu, we wszystkich przejawach, wskazuje na niemal całkowity brak zmysłu krytycznego, który by pozwolił ujemność wykryć, niedostatki spostrzedz, następstwa przewidzieć.

Historja nasza przedstawia cały szereg wypadków, które mieć by miejsca nie mogły, gdyby naród obdarzony był zmysłem krytycznym; gdyby się umiał zdobyć na sąd nie mylny o każdej, lub o większości rzeczy... Dzisiejszość nie inaczej się nam przedstawia: Dramat odegrywa się przed naszemi oczyma; ale w nas niemasz mocy do zajęcia roli odpowiedniej; stoimy w niewiedzy: co czynić należy? i przyjmujemy wreszcie wyznaczoną nam rolę statystów, dlatego, by po szkodzie — zmądrzeć.

Rażący ten brak krytyki da się nawet z korzyścią dla nas wytłumaczyć — teoretycznie. Musimy mieć zanadto własnej treści, byśmy potrzebowali być tylko mistrzami formy; zanadto własnych pomysłów, by się do obcych uciekać i takowe dopiero wypełniać, doskonalić... Musimy mieć większą wagę, większą wartość moralną, większą samodzielną siłę... Tak! ale mimo to wszystko, krok za krokiem, utykać musimy i trwonić skarby, których wartości, których użytku nie znamy. Stajemy się łupem sąsiadów — i przy nas pozostaje sława — oni zabierają korzyści.

W życiu praktycznem, w naukach, literaturze, sztukach pięknych, chociaż tyle wieków przeszło, mamy tylko dyletanstwo krytyki, ale nie krytykę rzeczywistą!

Do wieku XIX. — zjawisko przerażające! krytycyzm w narodzie nie daje znaku życia. Cały naród idzie na oślep, błąka się, i nieświadomość swych dróg opłaca licznemi klęski. Najznakomitsi, których byśmy wskazać mogli mężowie są tacy tylko, którzy wołają: ›Niebezpieczeństwo grozi!‹ Ale i ci raczej przeczuwają, aniżeli sami są świadomi niebezpieczeństwa. — G r a b o w s k i, M o c h n a c k i, a w części M a j o r k i e w i c z — oto trzy pierwsze imiona krytyczne. Tylko trzech krytyków na dwadzieście milionów, którzy jedną już historję przeżyli i zaczynają żyć na nowo. A dziś — kogoż to mamy, pomiędzy sobą o którym moglibyśmy powiedzieć: krytyk? K a s z e w s k i w Warszawie, L i b e l t (który zamilkł) Małecki we Lwowie... to, podobno wszyscy!

Jakże więc iść bez przewodniego światła, bez wskazówek, po omacku?... Ha! błąkać się potrzeba. I błąkamy się też — bez przewodników w życiu narodowem, politycznem, w naukach, literaturze, sztukach.

Zaprawdę! potężne muszą być nasze siły, skoro przy zupełnym braku przewodników na każdem polu, zdobywamy się jeszcze na tyle działalności. Jest w narodzie duch wielki, wartość niespożyta, skoro o własnych siłach, bez pomocy, dźwiga się i postępuje!... — Tu dowód, że pozbawiony zmysłu krytycznego, naród nasz odznacza się tak dobremi stronami, że te upaść mu nie dozwalają... Ma on w sobie siłę twórczą, jest panem treści — i rozdrabiać się na formy, na dopełnienia, nie chce, może: nie potrzebuje...

Nie wiemy więc w istocie: smucić nas, czy martwić powinien podobny stan rzeczy?... Duma, czy upokorzenie nam przystoi?

Odpowiedź na to pytanie wielce trudna... i wolimy, raczej życzyć narodowi, by zdołał połączyć w sobie treść i formę, twórczość i zmysł krytyczny... Wówczas może być pewnym wielkości! pewnym wypełnienia sobą ideału! Gdy jednak jest to życzeniem tylko; a Bóg i dzieje nadają charakter narodowi,.. i gdy schlebianie ułomnościom jest grzechem, a piorunowanie, przy dowiedzionej nieskuteczności gniewu, jest nierozumem — musimy zostawić rzeczy ich naturalnemu biegowi; a skonstatowawszy fakt, przejść do wytłumaczenia: dla czego poruszyliśmy sprawę boleśną... bo jej zaradzić niepodobna?...

Artykuł niniejszy wywołała w nas decyzja komisji konkursowej teatralnej. która uwieńczeniem dramatu p. Ed. L u b o w s k i e g o p. t. ›*Żyd*‹ złożyła rażące świadectwo nieudolności, braku krytyki u nas.

Sztuka, nagrodzona przez komitet, w którym, z żalem to podnosimy, zasiadał p. M a ł e c k i, na żadną nagrodę nie zasługiwała! *) — Jeśli jest prawdziwem orzeczenie komisji, iż *Żyd* jest utworem n a j l e p s z y m pomiędzy ubiegającemi się o nagrodę; tedy już samo to przyznanie było dlań dostateczną nagrodą: ale wieńczyć dramatu p. Lubowskiego nie należało pod żadnym pozorem.

Utwor to tego rodzaju, że nie odznaczając się wartością, świadczy tylko o rutynie pisarskiej autora; ale talentu wyższego w nim nie znamionuje. — Coż więc powodowało komisję, że mianowicie ›Żydowi‹ nagrodę przyznała?...

*) Obacz: Recenzje.

Jeśli komisji chodziło o teatr, by dać mu dobrą sztukę, bez względu: czy talent autora jest tej natury, iż przyszłość mu zapewnia — to zaprawdę, źle mu się przysłużono, bo sztuka jest mierna! Jeżeli zaś wyrok wydano, nie biorąc na uwagę chęci pozyskania scenie autora, któren zdradza talent samodzielny, pomimo niedoskonałości dzieła znajdującego się na konkursie — tedy rozminęła się komisja z swym celem, nie zrozumiała swego obowiązku!... W obu zaś razach: dała komisja samej sobie świadectwo niedojrzałości krytycznej...

Zawiedzeni w wyborze sztuki przez komisję, sprawiedliwie przypuszczać możemy, że pomiędzy odrzuconemi znajdują się rzeczy większej wartości, których zaletę, jak wady ›Żyda‹ może nie zwróciły uwagi komisji...

W jej więc i w interesie ogólnym, mamy prawo domagać się, by do sądu o nadesłanych utworach przypuszczono publiczność, a więc i krytykę po za komitetową — drogą przedstawienia na scenie lepszych utworów konkursowych. Jedno z dwojga: albo komisja usprawiedliwi się przed publicznością z wyboru sztuki w istocie najlepszej (chociaż zawsze nagroda ›Żyda‹ zostanie nadzasłużoną); albo utwor lepszy aniżeli ›Żyd‹ odrzucony dla jakichbądź względów przez komisję, otrzyma pierwszeństwo, pomimo wyroku sędziów konkursowych.

Czekamy więc na przedstawienia. A nie chcemy przypuszczać, że komisja upornie przy swem zdaniu obstając, sprzeciwi się udziałowi szerszego koła publiczności w wydaniu sądu o wartości utworów, ubiegających się o nagrodę — nie pieniężną tylko!...

NA PRZEŁOMIE.

Scena z dramatu.

(*Sala reduty. Za kolumnadą widać sale inne. Muzyka grzmi. Masek mnóstwo — płyną w rozpasanym tańcu.* CZARNE DOMINO *przechodzi salę, pogardliwym ruchem ręki odpychając maski, siłące się go wciągnąć do tańca. Z przeciwnej strony, z głową w górę wzniesioną, wchodzi* MASKA W PŁASZCZU PURPUROWYM, *również nie łączy się z tańczącymi.* MASKA *spotyka* DOMINO *w tłoku*).

MASKA.

Ktoś ty jest?

DOMINO (*odpowiadając*).

„Wczoraj!“

DOMINO.

Giń! — twe miejsce w grobie.

DOMINO (*pyta*).

Twe znamie?

MASKA.

„Dzisiaj!“

DOMINO.

Legniemy przy sobie.

MASKA (*ze znaczeniem*).

Nie wszyscy.

DOMINO (*ponuro*).

O! wszyscy.

MASKA.

A więc — do spotkania.

DOMINO.

Stanę. Będziem razem — w godzinie skonania.

(*Maska wychodzi. Tańczący usuwają się za kolumny*).

DOMINO (*samo zostawszy na przedzie sceny, uchyla maski — wsparłszy się o boczny filar*).

Na dwóch światów złomie — co u wierzchu — ginie!
Byt nowy, z ruiny, wzrośnie — na nizinie.
Więc w groby coprędzej! Poco żyć przegniciem?
Co śmierci własnością — próżno żwie się życiem!

(*Z grona masek wydzielają się dwa domina*).

DOMINO MĘŻCZYZNA (*idzie na spotkanie maski kobiety*).

Czekać? — nie? powiedz!

MASKA KOBIETA (*odpowiadając*).

Nie powiem. — Odchodzę...

(*Łączy się z innemi maskami*).

DOMINO MĘŻCZYZNA (*na stronie*).

Głupia! (*Z ruchem ociężenia*).
Rozrywki szukam, — a nudy znachodzę.

DOMINO CZARNE (*do mówiącego*).

Spojrzyj w siebie, do uczuć wygasłych ojczyzny:
Masz że tam co więcej, prócz trupiej zgnilizny?

DOMINO MĘŻCZYZNA (*okrywając się szczelniej — do siebie*)

Głupiec czerwony!

DOMINO (*dosłyszawszy — jak przedtem*),

A podobny tobie:
Zgniliznę mamy oba — krwi nie znajdziem w sobie.

(*Zbliża się*).

Czy nie czujesz jak wieje od nas zapach trupi?
Tyś szczęśliwszy: — znasz podłość; lecz nie wiesz — żeś głupi!

DOMINO MĘŻCZYZNA (*urażony*).

Szpady nie mam przy sobie!

DOMINO.

Nie dźwigniem jej oba.
Wczoraj było naszem — teraz innych doba.

DOMINO MĘŻCZYZNA (*poznawszy*).

Hrabia!

HRABIA (*również poznając*).

Książę!

KSIĄŻĘ.

Gubisz nas i siebie.

HRABIA.

Ciesz się? Nowe życie znajdziemy...

KSIĄŻĘ.

Gdzie?

HRABIA (*ironicznie*).

W niebie!...

KSIĄŻĘ.

Warjat!

MASKI (*przeciągają koło mówiących*).

Cha, cha, cha! przedziwnie!
Ta mu okiem mrugnie — ten jej palcem kiwnie...
Cha, cha, cha! (*przechodzą scenę*).

HRABIA (*patrząc za odchodzącymi*).

Upiory!

(*Wchodzi maska kobieta — ta co pierwej*).

KSIĄŻĘ.

Otoż moja maska! (*podchodzi do niej*).

Łaska,

Czy nie łaska? pytam. Odpowiadaj!

MASKA KOBIETA.

Łaska.

(*Chcą wychodzić*).

MASKA W PURPURZE

(*która śledziła kroki maski kobiety, rozłącza idących*).

Stójcie!

KSIĄŻĘ.

Co to!

MASKI KOŁEM.

Co to?

MASKA W PURPURZE.

Wszędzie-ż ma być błoto?

(*Do maski, z którą chciał iść książę*).

Gdyś już nikczemnością — nie bądź zbrodnią, cnoto!

Patrz! (*Zrywa maskę księcia*).

KSIĄŻĘ.

Nikczemny!

MASKA KOBIETA (*z przerażeniem*).

Ojciec! (*chyli się zemdlona*).

KSIĄŻĘ (*zasłyszawszy*).

Córka! (*wychodzi z sali*).

MASKI (*kołem*).

Cha, cha!

Czy dziwo, że w ojcu ma panienka gacha?

Cha, cha, cha! Dobra noc. (*ciągnąc dalej*).

Poszukajmy syna! (*oddalają się*).

HRABIA.

Wszystko ginie — zagłady zbliża się godzina.

(*Zemdlonej uchyla się zasłona. Widać twarz piękną*).

MASKA W PURPURZE (*trzeźwiąc omdlałą*).

Anioł ciałem; zaś dusza...

HRABIA.

Nie znajdziesz tam duszy!

MASKA W PURPURZE.

Kłamiesz! czarny kruku.

HRABIA.

Probuj. Może wzruszy

Głos twój czucie jakie — lecz nie stworzy duszy. (*odchodzi*).

ZEMDLONA (*przychodząc do siebie*).

Ojciec! (*do trzeźwiącej ją maski*).

Ja cię nie znam.

MASKA.

Duszy mojej — tyś mi znana.

Oprzyj się o mnie, Elwiro!

ELWIRA (*ze zgrozą*).

Poznana!

O, losy! (*do maski*).

Lecz słuchaj! ty nie jesteś inny?

Tyś — n a s z?... (*Maska nie odpowiada*).

Milczenie! (*jak przedtem*).

Mów: żeś z nami winny!

Bym wstydu, co się zchował w głębi zapomnienia,
Nie potrzebowała na czoło kłaść. Ażebym cierpienia
Nie zaznała, żem winna obok niewinnego!
Mów! kto jesteś?

MASKA.

Nie z świata-m waszego.

Me miano — zemsta! Hasłem — śmierć dla wczora!
Zbledniesz, gdy powiem

MASKA SZATAN (*zbliża się do mówiącego*).

Mistrzu! czy już pora?

MASKA.

Czekać na mój znak! (*Maska szatan odchodzi*).

MASKA

(*do Elwiry — po chwili, wpatrując się w nią mocno*).

Masz ty ducha moc?

I masz li siły wejść w wieczności noc?

(*Elwira drzy*).

Czy dość masz mocy, by wywracać świat?
Bo oto stoję — j a, przed tobą — k a t!

(*Elwira odchyla się odeń, lecz drżąc słucha mówiącego*).

MASKA W PURPURZE (*jak przedtem*).

Jam wieków zemsty namaszczenie wziął,
I śmierci-m klął, że świat będę ciął,
Aż się odrodzi i da nowy kwiat!
A światem tym — Elwiro! — w a s z jest świat!

ELWIRA (*drżąc zapałem — po chwili*).

Twój głos w potęgę mego ducha wzbił!
O takim śniłam! — W duchu — t y ś mi mił.
I w śmierć zaginę! i popłynę w życie
Za tobą, w twoim przerodzona bycie!

MASKA (*z potęgą*).

Więc bądź-że odtąd m o j a n a z n a c z o n a!
A chociaż w śmierci w s z y s t k i c h me zwycięstwo —
Ja — z m o j e j mocy — wezmę duchów męstwo,
I — z grobów — w życiu — t y ma będziesz żona!
Patrz! (*uchyla maskę*).

ELWIRA (*zachwycona*).

Ty! (*rzuca się w jego objęcia*).

O, ty! Tu moim — i tam!

MASKI (*wpadając, ze śmiechem*).

Brawo!

MASKA PUSTELNIK (*nie zatrzymując się*).

Nowa zdrada!

MASKI (*ze śmiechem*).

Brawo!

HRABIA (*jednocześnie wchodząc*).

Nowy kłam!

MASKA W PURPURZE (*wpół objąwszy Elwirę — wychodząc*).

Płazy!

MASKA SZTYLETNIK (*przebiega scenę*).

Biada! (*Maska w purpurze drgnął*).

MASKI (*za wychodzącymi*).

Wiwat! Wiwat!

HRABIA (*ponuro*).

Znam was, znam!

INNE MASKI

(*wlatują w skocznym tańcu; chcą porwać wychodsących*).

Z nami, w taniec!

MASKA W PURPURZE (*groźnie*).

Precz! (*wychodzi z Elwirą*).

(*Szalony taniec masek porwał wszystkich*).

HRABIA (*usunąwszy się w framugę okna*).

Na grobie tany.
Pękły wszystkie węzły — świata ster strzaskany!

CHÓR TAŃCZĄCYCH MASEK.

W pary! w pary! młody! stary!
Mary — czary! Czar — w puhary!
Żądza żyje — maska kryje!
Kto nie z nami — ten nie żyje!
Świat nasz, — kwiat!
Siostra, brat,
Matka, syn —
Niemasz win!
Wszystko kał — wiwat szał!
W pary! w pary!
Młody! stary!
Wiwat świat! wiwat kwiat!
Nic początkiem — końcem...

NAWE GRONO MASEK:

(*powroźników, palaczy, rzeźników, karawaniarzy, grabarzy — wchodzi na salę i ustawiwszy się w koło, kończy chór poprzedni*)

Kat!

(*Tańczący w przerażeniu stają, patrząc na maski nowoprzybyłe*).

(D. n.)

Opowiadanie starego szeregowca.

(**Wyjątek z pamiętnika**).

(Dokończenie).

Przebrała się miara cierpliwości.

Bóg mi świadkiem, że stara krew zagrała mi w żyłach na wieść o ruchawce pod Warszawą. My, starzy, nie bardzo tam wierzymy namowom. Myśleliśmy: kiedy my z wojskiem i harmatami nie umieli dać rady, to co tam hołota z kijem dokaże? Ale Bóg widzi, że gdyby nie Kasia, jeszczebym starej szabli dopadł, a ciął krzyżową, ażby się djabli śmieli, a Moskalom było parno!...

Mój Antek nie był to chłopiec malowany. Przyszedł do mnie:

— Ojcze! — tak mię zwał od zrękowin. — Choć się serce kraje na myśl rozstania; ale mi nie przystało siedzieć tu, gdy tam się krew leje. Pobłogosław ojcze, pójdę na wojenkę. A jak Bóg pozwoli wrócić — oddacie mi Kasię...

Nie powiedziałem ani słowa; tylko zapłakałem, jak w tej tu chwili, i pocałowałem poczciwego chłopca.

— Niech ci Bóg błogosławi synu. Gdy Jego wola — będziecie szczęśliwi; a nie chce On tego, to nie nam z Nim wojować.

— Dziś z naszego miasta wychodzi oddział — mówił dalej Antek. — Powiedziałem, że pójdę, i pójdę! bo mam wasze zezwolenie — błogosławieństwo...

— A moje? Antosiu — ozwał się w tej chwili cichy głosik mojej dzieweczki, na który zadrzeliśmy oba.

Blada, gdyby posąg, wyszła z alkierza.

— To mnie porzucasz, nie rzekłszy słowa?...

— Chciałem, droga... — począł jąkać się Antek.

— Ojcze... Antku! — rzekła z płaczem, mój gołąbek — toście wy chcieli ukryć przedemną... Sądziliście, żem ja za słaba, by przenieść rozstanie z kochankiem... Antku! ja cię kocham, Bóg widzi jak szczerze; ale on mi da siły, że nie umrę, a ty powrócisz... Idź!... idź! Oto krzyżyk mojej matki; niech on cię strzeże... A to chorągiewka... wyszyłam ją dla ciebie... — Łzy jej mówić nie dozwoliły, wpół umarła rzuciła się w objęcia moje i Antosia.

Nie dziwujcie się, że stary płacze. Sądziłem, że mam córkę, a to chyba był anioł z nieba!... To też i nie długo gościł na ziemi.

Nazajutrz zostaliśmy sami; Antek z innymi ruszył na wyprawę.

Śmiertelny wróg nie zarzuci mi, żem zły Polak. Za młodu chodziło się na wojenkę; zaznało głodu i chłodu, i bolu nie mało; co mogłem — dałem na ofiarę... kochałem ojczyznę! Ale od czasu, gdy wojenka zabrała ze sobą szczęście biednej dzieciny; od czasu, gdy Antek walczył — ukochałem ją silniej, jeśli to być może, i goraco prosiłem Boga o zwycięztwo dla naszych.

Mój anioł, Kasieńka, choć sama cierpiała, nieboże, cieszyła mnie starego. A widziałem, jak z dniem każdym siły ją opuszczają: w mych oczach więdnął śliczny ten kwiatek, a jam się patrzał tylko na jego konanie — zaradzić, pomódz nie mogłem!... O Antku mieliśmy rzadkie wieści, a wszystkie do siebie podobne: żyje, walczy dzielnie; ale o powrocie mowy być nie może; bo chyba Bóg wie, jak się rzecz ukończy.

Nie wraca, nie wraca. A biedne moje dziecię cień zaledwie. Nie uskarża się, pociesza mię nawet, ale niknie z dniem każdym.

Byłem w rospaczy. Daruj Boże wielki! ale nieraz przeklinałem siebie, żem mu pozwolił pójść; kląłem tych, którzy bój rozpoczęli... Grzech wielki! Ale wy nie wiecie jaki to ból starca, gdy traci ostatnie, co mu zostało na tym świecie... Boże! Boże, zaco niekiedy tak ciężko nas doświadczasz!

Spojrzał po twarzach słuchaczy.

— Posmutnieliście? A poco było starego wyciągać na opowiadanie! W tej piersi radości nie ma. Ból ją tłoczy, aż kiedyś rozsadzi, jeśli moskiewska kula pierwiej nie zawita...

Ale słuchajcie końca; a nie daleki on, jak bliską godzina, w której stare kości złożę gdzieś, wilkom na poszarpanie...

Pewnego wieczora wszczął się ruch wielki w naszem miasteczku. Za krótką chwilę dowiedzieliśmy się, że przywieziono powstańców, wziętych do niewoli, z których jednego *zaczinszczika* — jak go nazywali — prawdopodobnie powieszą Moskale. To samo słyszałem z ust pijanego oficera, który się przechwalał, że konwojował *miatieżników*.

Serce mi się ścisnęło; westchnąłem z innymi do Boga, i pociągnąłem do mojego domku.

Na progu spotkałem Kasię.

Cień to był już, nie dziewczyna; ale w tej chwili niezwykły ogień świecił w jej oczach.

Porwała mię za rękę i drżącym głosem rzekła:

— On jest tu! Oni go przywieźli!

— Kogo? Kto przywiózł?

— Antka, Moskale!

Struchlałem; alem się prędko opamiętał, że może w tem nic nie ma.

— Co ci Bóg dał? Kasiu! Przywieźlić powstańców, to prawda; ale któż ci powiedział, że Antek między nimi?...

— Serce! — odrzekła; łkając rzuciła się w me ramiona — Ojcze! ojcze! — wołała.

Pocieszałem jak mogłem, uspakajałem; ale i mnie nasiadła czarna myśl, że między przywiezionymi może być Antek; miałem tylko w Bogu nadzieję, że to przecie nie ziści się jeszcze.

Ziściło się, naprawdę!...

Drugiego dnia rozeszła się po miasteczku wieść o skazaniu na śmierć przewódzcy powstańców. Tym skazanym był Antek.

O! co z tem starem sercem działo się — wiedzą święci w niebie, i krwawo to cierpienie wrogowi zapisza!... Postanowiłem jednak nie mówić prawdy mojej Kasieczce. Albo ja wiem, co chciałem czynić ukrywając! Dość, żem nie powiedział.

Pierwszy raz w życiu kłamałem, a wiary mym słowom dać nie chciała.

— Przysięgnij! — wołała — Na Chrystusa przysięgnij! — I porwała krucyfiks, i stawiła mi go przed oczy.

Przysiągłem.

Wielki grzech mój; ale i wielką była miłość dla tego dziecka.

Uspokoiła się, jak się uspokaja przekonany, iż widzianego nie widzi...

Nazajutrz byłem przytomny egzekucji.

Poznałem go, mimo że był zmieniony, i że go urok świętego męczennika otaczał.

Szedł pewnymi kroki. Stanął przed szubienicą. Spojrzał, i dostrzegł mię.

— Kasia! — zawołał.

A w tej chwili rozległ się za mną rospaczliwy jęk kobiecy. Jak śmierć blada, z włosem rozwianym biegła ku mnie moja dzieweczka... Z ręką wyciągniętą ku rusztowaniu, a okiem zwróconem na mnie: ›On!‹ — wyjąkneła. — Antoś!... Przysiągłeś...

Zagrzmiały bębny. Jeden jęk wyszedł z piersi tysiąca, i za chwilę na dwa trupy patrzyłem: tam Antoś, chwiał się, powieszony; tu — ona, anioł mój, dzieweczka...

Padłem bez czucia.

A życie nie uciekło, by z kochanymi połączyć się na wieki!...

Trupa Antosia wykradłem Moskalom, przekupiwszy straże, i pochowałem oboje na cmentarzu; a ostatnią modlitwą starego na ich grobie była przysięga: że mścić się bede na mordercach mych dzieci!...

I otoż mię macie wśród was... mnie, który mógłbym być dziadkiem waszym!...

Zwiesił głowę ku piersiom; słuchacze myślą ulecieli daleko...

Mnie powoływały obowiązki.

Boże! jacyż my biedni!

Z T. Szewczenki.

Jest na świecie dola.
A ktoż ją, kto zna?
Jest na świecie wola.
A ktoż ją, kto ma?...
Są ludzie na świecie:
Srebro, złoto mają;
Zdaje się: panują...
A doli nie znają!
Ni doli, ni woli...

Z nieszczęściem, a biedą,
I troską mozolną,
Żupany wdziewają;
A płakać — nie wolno...

Weźcie srebro — złoto,
I siedźcie z niem cicho!
A ja łzy zabiorę,
By wylewać licho...
Zatopię niedolę
Rzęsistemi łzami!
Zadepczę niewolę
Bosemi nogami!

Wtedy ja wesoły,
Wtedy z losem w zgodzie,
Gdy będzie serdeńko
Hulać na swobodzie! —

OBRAZEK WIEJSKI.

Przez
SZCZĘSNEGO MORAWSKIEGO.

Z nad Dunajca.

Nieszkowa, jest to sobie wieś na lewym brzegu Dunajca, naprzeciwko Nowego-Sącza, na owej pochyłości prześlicznej, która gdyby zasadzoną była winnicami — jak dwie krople wody do siebie, — podobna do wybrzeży Renu, słynnych na pół świata. Wina tam nie ma; ale gorzałki podostatek! — tem bardziej, że wieś ma propinacją własną. Więc też i wyborca sejmowy nieszkowski, znawca co do tej sprawy, bo ex-financwach, kmieć na pół-roli, a do tego obdarzon chlebem łaskawym z skarbu koronnego, na śmiało może zawsze głosować pojedynkiem, na przekorę sąsiadom naddunajczanom nie pojmującym finansów.

Prócz propinacji, Nieszkowa posiada i łowiectwo własne.

Gorzałka i łowy — zwykle chadzają razem, i dobrze im z tem, jeżeli jest czem i zakąsić! — Naddunajczanie mają; bo Bóg dał ziemię dobrą, i Bóg sam tylko wie: ile milionów jaszczurów, ryb, ślimaków i podobnych gadów składało tu ścierwa swoje, aby utworzyć pruchnicę urodzajną, w którą Nieszkowianie sieją zboża i sadzą ziemniaki. Zboża i ziemniaki rodzą się plennie; więc są pieniadze, jest gorzałki podostatek, więc bywa i ochota łowiecka.

Nieszkowianie jednak, jako lud rolniczy, domorosły, przenoszą pług nad strzelbę; a wymłóciwszy i sprzedawszy, wolą spożywać i popijać daru bożego, aniżeli łazić za dziczyzną.

Zato Niemcy okoliczni, jako naród wojenny i podbijający, namiętnie lubią wybiegać z strzelbą i pieskiem. Nie ostoi się przed niemi zając ani kuropatwa; słomka ledwo, że uleci, bo licho strzelają: kulą biją na kilkanaście kroków, a kuropatwy łowią w siatki. Zdarzyło się mimo to, że i wilczysko ogromne »koniojad« padło ofiarą strachu niemieckiego. Niebaczkiem, kiedy się jeden drugiego najmniej spodziewał, w Podegrodzkich krzakach brzozowych, wychodzi wilk na niemca, i to o pięć kroków z za krzaka. Przelękniony »bruder« strzelił w obronie własnej; krzyknął zarazem od strachu, i umyka, bo wilczysko podskoczyło w górę. Ogląda się strzelec: a wilk leży. Więc wstąpił duch w niego, zwłaszcza, że tej chwili huknęło strzałów kilka i odezwały się głosy zwycięzkie. Padło wtedy trzy wilki; a on niemiec zwycięzca, opowiadając, jakim który był, zwykł powtarzać: Samura. jak samura, już była bardzo wielką; ale ten bik! co ja go zastrzelił, to był strasznie ogromny!

Odtąd niemcy zasłynęli na polu łowów!

Łowami nieszkowskiemi zawiaduje, a raczej rosporządza, wójt. Wabi on się: Migaczem, i to nie sam: połowa wsi zwie się Migaczami; a z drugiej połowy połowa: Pasiutami, ostatek po większej części wabi się Mordarskimi — co nie zawadzi donieść panom statystom.

Owoż wójt Migacz urządził łowy, na które zaprosił niemców z Bieżyc (po niemiecku Kattersdorf- od katter- kocur- zbik), z Chełmca, z Gaju... Jakoż stawiło się dwu braci Kerthów, i Linn i z Chełmca nadworny Wng. Wittyka Teodora łowca germański z żółtym psem, i wielu innych.

Łowy, acz nie zagajone na pełnej radzie gromadzkiej, jeno, wbrew samorządu, zwołane od pana wójta — odbyły się prawidłowo: Pukano, nawoływano pieski: »Na spiwka na! na Waldman na!... tu! tu! tu! hej! kotka kotka!... i t. d., a gdy słońce zaszło za Obidzką skałkę (w lecie zachodzi ono za Skiełek!) zabrali się łowcy, i wedle słów czcigodnego ś. p. elementarza:« idą cicho i spokojnie prostą drogą do karczmy.«

W karczmie pospólstwo zjednoczone w miedzach wsi Nieszkowej zgromadziwszy się, a przejęte nawskroś swą rzeczą pospolitą nieszkowską, jęło radzić i wnioskować:

— Przecież to łowy, to nie rzecz wójta; tylko rzecz całej gromady pospolicie! Więc czemuż to wójt zwołuje, a nie pospólstwo gromadnie?... To nie powinno być!... gromada temu nie rada!...

Tak i podobnie wywodzili i pomrukiwali, nie zadowoleni z zarządu swej Rzeczypospolitej gromadzkiej.

Na to nadchodzi wójt i czterech Niemców.

Wójt Migacz, rzuciwszy okiem, poznał co się święci: napił się więc wódki i poszedł.

Niemcy pozostali, przypijając jeden do drugiego; bo oni zawsze piją po swojemu.

Chłopi przymawiają im, pytając: czy od gromady mają pozwolenie łowów w obrębie wsi?... Tu bez nas nie wolno polować nikomu!...

Wywiązała się pogadanka co raz żywsza, którą niemcy chcieli obrócić w żart; więc pytania odpierali żartyma — a w końcu jęli się niecierpliwić.

Kerth, niemiec bywały na Węgrach, do tego człek obeznany z strzelbą, jął z madziarska »basamteremkować« i ufny w siłę swą woła: No! chłopy! kiedy wam krzywda, to niech się który chwyci ze mną w poły, kto kogo zmoże? — no kto chce? dalej! — kto komu da radę!...

Występuje jeden z Migaczów i rzecze — Zgoda! chwyćmy się, ale złóż strzelbę.

— I ze strzelbą dam ci radę — chodź!...

Chwycili się i mocują — chłopi ustępują się ku ścianom izby.

Między innymi Michał Migacz usiadł sobie pod ścianą. Przed laty przyżenił on się był w Brzeznej do wdowy Zielińskiej, która miała syna z pierwszego męża. Z pasierbem tym nie mógł on się zgodzić. O marną rzecz! bo przy suszeniu śliw na suszni, powadzili się z sobą tak zawzięcie, że przyszło do bitki. W bitce dobył noża i pchnął pasierba: w samo serce. Za zabójstwo otrzymał wyrok na 8 lat. Przesiedział coś, a 1862 amnestjowany wrócił do domu — do Nieszkowej.

Kreth z Migaczem tamtym chwycili się i szamotają...

Niemiec acz o wiele roślejszy, uchwycony niżej i podniesiony w górę, chwieje się i ma padać... W strachu chwyta za strzelbę.

Przeciwnik jego bacząc to, chwyta za koniec lufy, i zwraca w bok.

W tem strzelba wypaliła... Przeciwnikowi jego zapalił się rękaw od koszuli... a pod ścianą jękło zcicha...

Żydówka przyskoczyła z wodą i zalewa palący się rękaw, a pod ścianą podnoszą trupa Migacza Michała, owego zbójcy amnestjonowanego.

Krzyk! wołanie, w karczmie i na polu!

Migacz zapaśnik rozgniewany, chwycił za gardło Kertha jedną ręką, dusi — a drugą bije na umor!

Kerth pochwycił mu rękę, a nie mogąc inaczej: bierze mu palec w zęby i gryzie, aż kość chrupła!

Migacz od bolu puścił go; lecz chłopi rzucają się na niemców. Nadaremo bronili się kolbami: w mgnieniu oka połamano strzelby, i biją niemców, najbardziej Kertha.. a od chałup przybywa chłopów co raz to więcej, a każdy chce bić!

Kto wie: czyby nie byli pozabijali, gdyby nie reszta łowców niemców. Nadeszli oni właśnie w najgorętszej chwili; a widząc bój zaciekły, jęli pod oknem strzelać na wiatr.

Chłopi sądząc, że i tam się biją, wybiegli; a owi czterej niemcy pobici mogli się wydobyć z karczmy.

Co dostali, to dostali! — ale żyją i chodzą.

Postrzelony zaś skonał na miejscu; nabój poszarpał mu płuca od prawego boku nawskroś. Lud go nie żałuje! owszem widzą w tem jawną karę boską za zabójstwo pasierba.

Bardziej żałują Migacza drugiego, któremu strasznie jadzi się palec pogryziony: ręka spuchła — może umrzeć.

Wójt przelękniony, poszedł do Nowego Sącza do samego pana starosty, donieść o wypadku. Gromada zaś, wedle prawa, dała znać do sądu śledczego w Starym Sączu, i zwłoki odwiozła do trupiarni.

Zjechała komisja z Starego Sącza, i zrobiła swoje. Lecz i z Nowego Sącza od sądu obwodowego zjechała komisja druga. *Corpus delicti* nie znalazła, bo już nad nim komisjonował sąd śledczy właściwy. Więc oglądnęła *locum delicti* i pojechała.

Potem dopiero sąd obwodowy odstąpił sprawy sądowi śledczemu, któremu przypadała i bez tego...

I — czy się to częściej tak zdarza, że dwa grzyby w barszcz?!...

Recenzje.

Z ubiegłych dni. Poezje * * * Poznań. M. Leitgeber. 1868 roku. 145 str.

Poezja! — O, z tą już nie spotykamy się prawie. Nieb mieszkanka, uleciała z biednej ziemi naszej!... i nie przywoła jej ani łza, ani krew, ani śmierć ofiarna... Odeszła na niebo, wraz z wieszczami, których była ukochaną!

Przeżyliśmy wiek nasz poetyczny, prześpiewali młodość ułudną, i nie doszedłszy męztwa a zbywszy młodzieńczości — stajemy dziś u wrót tej prozy życiowej, kiedy się jest dzieciekiem starem, mężem dziecinnym — jakowąś nie smaczną połowicznością...

Charakter ten odbija sie we wszystkiem; dojrzysz go w polityce, w literaturze, sztukach, w życiu nawet codziennem... A znać go najbardziej w poezjach dzisiejszych. Słabe to już echa tylko świetnej przeszłości; odblaski nieba, które wczoraj jeszcze jaśniało całą pełnią słońca... Poezja dzisiejsza jest nie smaczną, jak wszystko co nas otacza, — Świadomi tego, z uśmiechem spozieramy na wiersze, z politowaniem bierzemy do rąk zbiór poezyj — pewni, że jej tam nie ma, że jej tam — być nie może...

Poezje autora trzech gwiazdek są dziećmi swojego wieku, jakkolwiek przyznać potrzeba: należą do udatniejszych. Ma nawet autor niektóre chwile szczęśliwe w wierszach ulotnych, niby śpiewkach: Na koń, Z obczyzny, We śnie, Porównanie, W Tatrach, Siła przed prawem. Jest polot, nieco kwiecia, serce gorętsze, myśl młodsza... Jednak, rzecz smutna! świetnie błysnął talent autora — ironją... Najlepszym niewątpliwie z jego wierszów jest:

„Do braci wieszczów i wierszokletów,“ który tu podajemy w całości:

Bracia po lutni! — pieśniowi rycerze!
Na falach uczuć nędzny żywot wleczem,
I piórem dzielniej walczym — niźli mieczem —
Łzy z kałamarza lejem po papierze...

Tragi-komedjo życia! — śmiech mnie bierze,
Jak się ku tobie wszystkie wieszcze chylą:
Każden z nas szalał za swoją Marylą —
A jak ją kochał — zwłaszcza na papierze!...

Oh! i my wszyscy żyjem w dobrej wierze —
Cierpim jak Tantal — kochamy tak czule!
Ów sześć elegij wyrył na bibule —
W łeb sobie palnął — szczęściem — na papierze!...

Bracia po lutni! — o! wyznajmy szczerze
Wszyscy — od wieszcza aż do rymoklety:
„My rządzim światem — a nami kobiety!“
Niestety — zawsze tylko na papierze. —

Tak! — A dodać by jeszcze można: „I poezja nasza jest dziś poezją — tylko na papierze!...“

Żyd, dramat w 5 aktach, oryginalnie napisany, przez *Edwarda Lubowskiego* — przedstawiony po raz pierwszy dnia 7. grudnia 1868.

Po mgłach niewiedzy, rozsianych w XVIII. stuleciu, wiek nasz, jak zbawienia kotwicy, jął się myśli postępu, i gorączkowie wytęża wszystkie swe siły, porusza każdą działalność, by o krok wysunąć się naprzód, co rychlej oddalić się od zohydzonej przeszłości... Wszelkie środki dobre! byle wiodły do celu. Postępu! postępu! — wołają wszyscy, i tej gorączce pragnienia święcą częstokroć bardzo wiele...

Wiara — rzecz nie godna rozumu, który jest wszystkiem!... Poezja — mrzonki! przebaczone dzieciom; ale nie umysłom wytrawnym... Zimna loika, ścisłość rachunku — to rzeczy godne człowieka! Uczucie, serce — śmiesznostki. To się jeszcze przebacza młodzi, kobietom, które nie poznały świata... Ale my? — interes! egoizm rozumny... to podnosi godność, czyni człowiekiem człowieka! Postęp nie na sentymentach; ale opiera się na czynie... Realizm! — to hasło. Dalej, naprzód! naprzód!

W wirowy taniec zamętu puściła się ludzkość! W słowie: „postęp!“ ginie wszystko, oddaje się mu w ofierze — ale go nie osiąga... Chorobliwe objawy tego życia pośpiechu, mylnego rachunku, pamięci w zapomnieniu — rodzą widok wstrętny... Co ma świętego nasz wiek, jakiego Boga na swym ołtarzu? Smutno pomyśleć: pieniądz jest tym Bogiem... Realizm życia, rozum przewodni; podporządkowanie ducha, niegdyś władnącej, materji; korzyść rzeczywista, dobrobyt ogólny — wszystko to zawarte w jednostce monetarnej... Sto, tysiąc, miljon! — to słowa ulubione naszego wieku, który umie się wznieść do wysokości pojęcia cyfry, ale cyfry tylko!...

Tej prawdy nie miłej życia, nie dotykalibyśmy na tem miejscu, gdyby nie to, że gorączka pragnień dojścia do cyfry, że chęć wprzęgająca wszystko do wozu mniemanego postępu, nie przebaczyła nawet sztuce, i naruszywszy jej świętą nietykalność, skalała użyciem do swych celów, z któremi ona nie ma nic wspólnego. Sztuka — niebios wysłaniec, odtworzenie bóstwa w dziele, Jego godnem, bo pięknem — coż może mieć wspólnego zzimną miarą i wagą dzisiejszych sądów ludzkich, pyszących ducha: w jakiej cenie da się ukorzystnić, pójść w zamian za to, co bliższem będzie sumy o większej ilości zer?... Ona niepochwytna, dająca się odczuć tylko, odbłogosławić — w prostej sprzeczności zostaje z dzisiejszym światem postępu, i tęskne rzuca spojrzenie za siebie w owe wieki. kiedy była pojmowaną, odczutą, uczczoną... Lecz wieki te minęły! Dzisiejszy wiek praktyczny, jeśli zna rzeźbę — to w karjatydach zaledwie; architekturę — w fabrykach i koszarach; muzykę — w hałaśliwych koncertach, gdzie prostota instrumentów Glücków, Hajdnów, Mozartów musi ustąpić wymyślnym trąbom i strzelaniom z dział i karabinów... Dzisiejszy wiek, jeśli zna piękno, to w ozdobności tylko; za ten kres nie sięga jego pojęcie i wiek nasz nie rozumie i śmieje się z zasady: „sztuka dla sztuki“

bo jak wszystkiego, tak też i sztuki potrzeba mu do czegoś, do jakiegoś celu... Niepoświęcony wszedł do jej świątyni, ręką świętokradzką targnął się na piękno, zwlókł go z ołtarza, i służyć kazał sobie, swym celom... Lecz urażone piękno zemściło się na winnych: formę swą zostawiając realizmowi na usługi, treścią odbiegło odeń daleko, postaremu chowając się w dziełach ludzi-duchów, nie — automatów postępu.

W dziełach dzisiejszych mistrzów, w tych, które posługują się sztuką — istotnego piękna nie ma; jest tylko słabe jego odbicie, przezrocza powłoka z poza której duch przeglądał; ale gdy z dzieła ustąpił — pozostał: kamień, płótno, ton, słowo... W dziełach sztuki dzisiejszych jest wszystko, krom ducha piękna... Jest to, czego potrzebuje nasz wiek realny: rozmiary, kształty... nie ma — co dlań jest zbytecznem: ducha. A piękno łączy formę i treść w sobie... zkąd jedno, lub drugie ustępuje — i piękno z nim znika!

Dramat współczesny wszedł w poddaństwo myśli naszego wieku. Ma ona zeń powolnego sługę, ma niewolnika... Sztuka więc, mająca za swój cel ostateczny: idealizowanie życia; sztuka, która w czynie odtwarza świat i uplastycznia prawdę, ale prawdę życiową — ta sztuka, która jest sama celem najszczytniejszym, — stała się dziś narzędziem w ręku tych, którzy zaprzeczając istnienia Boga, ducha, piękna — chcą zdobyć się na dzieło najwyższej potęgi, bo: stworzenie życia, w ich myśl, w ich chęć nieoględną... Dramat dzisiejszy stał się retortą, w której przerabiają się kombinacje zdań, teoryj, formułek... co przeniesione na deski teatru, rozlewają się brudnym potokiem po umysłach widzów, szczepiąc w ich sercu zarody trujących myśli i przekonań, w bujny chwast zwątpień pleniących się, i późniejszych zawodów. Dramat i dramaturgja wprzągnięte w jarzmo uszczęśliwiaczy ludzkości, płużą znojnie ich myślom potwornym, zrzucając z siebie piękna charakter, aż brudnemi bachanaljami wypłyną na widownie, przyjmowane rykiem tłuszczy, co raz to niżej upadającej moralnie.

Zgasiliście światło piękna — cóż znaczą skargi na ciemność nocy?... Rozumowe światło waszych doktryn słońca nie zastąpi!

Przeszedł wiek Szekspirów i Kalderonów! Nie mamy dramatu życia; stworzono nam — komedję ludzką... I wiek nasz nie mógł się zdobyć na dzieło bardziej siebie godne!...

Czemże to jest dzisiejsza komedja — dramat ludzki?... Stekiem wszystkiego, chaosem, mięszaniną, gdzie nie ma tylko: piękna, prawdy i dobra... Nie ma! Bo pięknem nie jest mechaniczny układ, form zastosowanie... Bo prawdą nie jest wstrętny realizm, fotograficzne odwzororowanie życia, pozbawionego zalet wyższych... Bo dobrem nie jest teorja oparta na czczem rozumowaniu, zamiast do szczęśliwości, wiodąca — do zguby!...

Dzisiejsi mistrze sztuki dramatycznej, z wiedzą lub bez wiedzy, posługują się sztuką, chcąc w życie wprowadzić własne, lub obce teorje. Nie chodzi im o piękno; ale o pożytek... To mają na oku! temu święcą wielkie swe powołanie... Rzecz jednak dziwna! pracując dla chwili — nie cieszą się zapłatą chwili, lecz pragną — nieśmiertelności!... Co! kazaliście nam wierzyć że Bóg, wiara, duch, wieczność — wymysłem!... że wszystko co nas podnosiło nad powszedniość życiową — że wszystko to było obliczonem na nasze wyzyskiwanie, że niemasz istnienia po śmierci — a dziś, gdy nadchodzi pora żniw ziarna przez was zasianego — wy sami odbiegacie własnego sztandaru, chcąc przejść po za grób, z którym kończy się wszystko?!

Taka to konsekwencja dzisiejszych mistrzów naszych!...

Lecz rozmyślanie na ten temat, zaprowadziłoby nas daleko... Przedmiot zajmujący... a naukę mieści w sobie ogromną! — której, gdy ludzkość w czas nie przyswoi sobie — drogo to może przypłacić!

Sztuka dramatyczna polska, pomimo całego ubóstwa swego, była bogatą, miała skarb wielki w sobie, bo: usiłowanie dążenia do piękna; miała na sobie piękna tego przeblask. Dramat polski wzdragał się dotychczas od posługi komu innemu, jak ideałowi — pięknu. Dziś zaczyna on zchodzić z tej szczytnej drogi; poczyna zapatrywać się na swych braci zachodnich, i wartość swą, cenę wewnętrzną, nastraja do kamertonu koncercistów wieku...

Mniemaliśmy, że utwór uwieńczony przez komitet znawców, znajdzie się na drodze tradycyjnej, wiodącej do piękna. — Zawiedliśmy się: *Żyd* p. Lubowskiego sili się być podobnym do swych braci francuzkich, posługuje przeprowadzeniu pewnych teoryj .. nie piękna, lecz pragnie — pożytku. (D. n.)

Rozmaitości.

* Współpracownik naszego pisma, utalentowany powieściopisarz p. Teofil Szumski, zamierza wydawać od nowego roku pismo literackie p. t. „Mrówka“ do którego, jako premjum dodaną będzie kopja słynnego obrazu Matejki „Kazanie Skargi.“

„Mrówka“ przyrzeka wydawać także bibliotekę, składającą się z przedruków rzeczy nie znajdujących się już w handlu księgarskim, i nowych utworów powieściowych.

Talent redaktora, jego przekonania, dają rękojmię, że „Mrówka“ odpowie zadaniu pisma, obliczonego na najszersze u nas koło czytelników, pomiędzy oficjalistami prywatnymi i uboższą szlachtą wiejską.

* Księgarnia p. Richtera zamierza wydawać „Bibliotekę narodową.“ Wydawca daje wielkie przyrzeczenia; życzymy, by się z nich wywiązał z korzyścią dla ogółu.

* Od nowego roku zacznie wychodzić we Lwowie pismo p. t. „Rękodzielnik,“ którego zadanie tytuł określa.

* „Szkoła“ staje się organem Towarzystwa pedagogicznego, i podobno, na jego własność przechodzi.

* Teatr M. Sztengla znajduje się w Nowym Sączu, gdzie daje przedstawienia z wielkiem powodzeniem.

* W Wieliczce, staraniem pp. Russockich założono stały teatr amatorski, którego przedstawienia jednak zostały zawieszone z powodu niebezpieczeństwa w jakiej znajdują się saliny.

* Krążą pogłoski, że jeszcze w tym miesiącu mamy ujrzeć na naszej scenie Żołkowskiego, artystę teatrów warszawskich, jednego z najsławniejszych komików. Lękamy się, by wieść ta nie była prostym wymysłem, obrachowanym na dobrą wiarę publiczności.

TREŚĆ:

Wydawca i odpowiedzialny za redakcję: Kornel Piller. Druk Kornela Pillera.